№ 35.

Warszawa dnia 19/31 Sierpnia R. 1867



TYGODNIK MÓD I NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50. na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

KAGOCI W PYRENEACH.

(Dalszy ciąg).

Ileż to prześladowań nieszczęśliwe te uszy ściągały na biednych parjów! Jak tylko Kagot ukazał się w mieście, ścigały go gromady dzieci, obarczając najwięcéj znieważającem szyderstwem, drwiąc i wyśmiewając że miejscowi owczarze zupełnie w podobny sposób obcinali uszy baranom.

Mówiąc o mocnéj budowie i silnéj organizacji Kagotów, doktór Goyon pisze że żyją w ogóle bardzo długo, i w najsędziwszym wieku zachowują zdrowie, siły i przytomność umysłu. I tak, w jednéj rodzinie widział mężczyznę i kobietę, mających po 78 lat przeszło, jak zbierali wiśnie z rosnącego przed chałupą drzewa, zaś krewna ich 86 letnia niewiasta, siedziała na trawie, a prawnuczka czesała jéj gęste i długie włosy.

Jednak to sprawozdanie zacnego doktora, w którem się opierając na niezaprzeczonych faktach, dowodzi, że nie istnieje żaden fizyczny powód upoważniający do wyłączenia Kagotów ze społeczeństwa, ale na tyle im się zdało, co edykta i postanowienia wydawane od dwóch wieków. „Najgorzéj głuchy kto słyszeć nie chce,“ mówi francuzkie przysłowie; dowodząc ludziom *czystéj rassy* że nie mają słuszności, że powinni uważać Kagotów, za bliźnich i braci, Dr. Goyon, oburzył wszystkich przeciw sobie, i sprzysiężono się zapamiętaléj jeszcze prześladować i odtrącać *potępieńców*.

Rzecz niepojęta! wielu nawet duchownych, dawało z siebie przykład téj zajadłéj nienawiści i srogości. I tak, niejaki d'Abedos, proboszcz w Lourbes w 1780 brat dziedzica i kollatora parafii, człowiek ukształcony i pod każdym innym względem umiarkowany i pobłażliwy, tak zacięcie nienawidził Kagotów, że nie raz ze stopni ołtarza, rzucał im obelgi i przekleństwa. Raz się zdarzyło, że jeden z tych, jak on nazywał, *strasznych potępieńców*, biedny niewidomy starzec, potknął się w kruchcie i mimowolnie dotknął się kadzielnicy, którą niósł ksiądz d'Abedos; kazał go natychmiast wypędzić i raz na zawsze zabronił wstępu do kościoła.

Dziwnem igrzyskiem losu, wyżéj wspomniany brat tego kapłana, tak zapominającego o swem posłannictwie chrześcjańskiem, dziedzic obszernych włości, zakochał się w młodéj Kagotce i ożenił się z nią, wbrew wszelkim stawianym przez brata zawadom. Prawo stanowiące że żaden Kagot nie mógł posiadać więcéj jak jednego wieprza i dwadzieścia owiec, nie straciło jeszcze wtedy mocy obowiązującéj, a że według tychże praw każdy zawierający związki małżeńskie z Kagotem lub Kagotką, tracił wszelkie prawa stanu i stawał się członkiem przeklętego plemienia, zatem ksiądz d'Abedos zyskał prawomocny wyrok, przysądzający mu dobra i cały majątek nowego parji, byłego dziedzica Lourbes. Synowcowie proboszcza d'Abedos są tam dziś prostymi włościanami i uprawiają dla innych ziemię należącą kiedyś do ich dziada.

Fakt ten jest znany po dziś dzień w całéj okolicy Lourbes.

Widać jak wstręt do podobnych małżeństw głęboko był zakorzeniony w Bretanji, kiedy potrafił przetrwać do naszych czasów, pomimo że ani śladu już nie pozostało z uświęcających go niegdyś praw i postanowień. Zaledwie kilkanaście lat temu, pewna młoda Bretonka miała dwóch starających się o jéj rękę; chodziła wieść że obaj młodzi pretendenci pochodzą od Kagotów, poleciła notaryuszowi aby zbadał ich genealogję, i wybrała tego któremu nie można było dowieść że krew Kagocka w jego żyłach płynie.

Raz zdarzyło się, mówi wyżéj przytoczony doktór Goyon, że pewna młoda dziewica Kagotka, nadzwyczaj piękna i cudownym obdarzona głosem, błagała o pozwolenie śpiewania na chórze w kościele. Miejscowy organista do którego udała się z prośbą, więcéj artysta niż fanatyk, usłyszawszy czysty i nadzwyczaj melodyjny głos dziewczyny, z chęcią przychylił się do jéj życzenia; z początku całe zgromadzenie słuchało zachwycone, ale jak tylko dowiedzieli się z czyjéj piersi wychodzi ten głos dźwięczny i rzewny, tłumnie rzucili się na chór, wypędzili przeklętą, znieważając i grożąc, aby nie ważyła się więcéj popełniać tak strasznego świętokradztwa, śpiewając chwałę Panu wspólnie z czystymi.

Emil Souvestre przytacza że jeszcze w roku 1835, pewien piekarz w Hennebou, stracił całe swe utrzymanie, ponieważ nikt nie chciał kupować jego pieczywa, za to że się ożenił z Kagotką.

Jeśli ktoś trzymał do chrztu dziecię Kagotów, wtedy według upowszechnionego w całéj Bretanji zwyczaju, tem samem stawał się członkiem przeklętego plemienia, wyjąwszy chyba że dziecko umarło w niemowlęcem wieku.

W jatkach nie wolno było Kagotom kupować, jak tylko mięso odrzucone przez wszystkich jako niezdatne do jedzenia. Dziwny jednak i niepojęty zwyczaj nadawał im prawo zabierania każdego przewróconego bochenka chleba, jeśli w nim znajdowała się tak zwana szczerba odwrócona ku drzwiom. Gdziekolwiek postrzegli chleb taki, wolno im było wziąść go bez obawy, aby ktokolwiek miał coś przeciw temu do nadmienienia. Jedyny przesąd obracający się na ich korzyść, i niechże kto potrafi zrozumieć go i wytłómaczyć.

Jeszcze w roku 1830, w pewnym kościele w Quimperlé znajdowała się ręka złożona tam w początkach panowania Ludwika XVI. Pewien bogaty Kagot, poważył się umoczyć palce w kropielnicy, umieszczonéj dla wiernych przy drzwiach kościoła; zobaczył to stary wysłużony żołnierz, nic nie mówiąc zaczaił się za drzwiami, i gdy wychodząc Kagot znów zbliżał palce do święconéj wody, gorliwy żołnierz oburzony świętokradztwem, uciął mu rękę jednym cięciem szabli, i całą zakrwawioną złożył w ofierze świętemu patronowi kościoła.

Kagoci zamieszkujący w Bretanji, wnosili podania do władz miejscowych, prosząc aby im dozwolono zamienić na inną, krzywdzącą nazwę Kagotów; a w roku 1789 wszyscy w całéj Francji najstaranniéj wyszukiwali i niszczyli, wszelkie dowody ich pochodzenia. Zniszczyli wprawdzie akta, ale tradycja przeszła aż do naszych czasów, i po dziś dzień wytyka rodziny pochodzące od Kagotów, Malandrynów i. t. p. stosownie do miana jakiem oznaczono przeklęte plemię.

Daremnie wielu erudytów starało się zbadać przyczyny ogólnéj odrazy i nienawiści, jaką otaczano to nieszczęsne, a tak pięknéj powierzchowności plemię. Jedni odnoszą początek tego niewypowiedzianego wstrętu, aż do owéj epoki, kiedy trąd był przedmiotem ogólnego przerażenia, i dodają, że jakkolwiek Kagoci nie koniecznie podlegają téj sztrasznéj pladze, jednak wiele jéj cech noszą na sobie: jakoto martwą bladość cery, nabrzmiewanie rąk i nóg, i. t. d.

Trąd jest dziedzicznym, mówią daléj badacze pragnący usprawiedliwić nienawiść i odrazę okazywaną Kagotom, słusznie więc i rozumnie nie dozwalać zawierania związków małżeńskich, między Kagotami a ludźmi czystéj rassy, aby nie dopuszczać rozkrzewiania téj strasznéj choroby.

Inni znowu, przyznają wprawdzie że Kagoci są piękni, silni, dobrze zbudowani, chętni i wytrwali w pracy i bardzo zręczni do rzemiosł, usprawiedliwiają jednak odrazę i nienawiść, jakich wszędzie byli przedmiotem, dowodząc że mieli *urokliwe oczy*, a charakter mściwy, okrutny i nieuczciwy, który, w raz z usposobieniem do trądu, odziedziczyli po protoplaście swoim Giezi'm.

Niektórzy znowu wywodzą początek ich od Gotów utrzymując że są potomkami owéj sekty ariańskiéj pobitéj i rozproszonéj przez Klodoweusza, któréj niedobitki otrzymali następnie pozwolenia osiedlenia się w Langwedocji i Guyannie, z warunkiem aby się wyrzekli odszczepieństwa Ariusza, i żyli zdala od społeczeństwa ludzi. Dowodzenie to zasadzają głównie na źródłosłowie nazwiska przeklętéj sekty, utworzonego wyraźnie ze słów *canes gots*, skąd powstało *Kagot*.

Wielu także twierdzi że byli to Saraceni, przybywający ze Wschodu podając na dowód nieznośną woń wydzielającą się z ich ciała. Ani wątpić o tem nie można, mówią oni, „wszakżeż Lombardowie, chełpiący się ze swego wschodniego pochodzenia, znani byli z tego że ciała ich wydawały niezdrowe wyziewy, jak o tem przekonywa list papieża Stefana III, do Karola I króla, w którym odradza mu aby się nie żenił z córką Didiera króla Lombardji (?) Tak więc, nie ma wątpliwości, że pochodzą ze Wschodu i muszą być niewierni. Dodajmy jeszcze że nazwa ich pochodzi od *canes Gots* t. j. psy Goty, a nadana im została dla tego: że Saraceni Gotów jak psów wypędzili z Hiszpanji!!! Nie dość na tem, w epoce swego saraceńskiego życia, niewierni ci jako machometanie obowiązani byli kąpać się siedm razy na dzień, i dla tego to kacza łapa, została odtąd godłem czyli oznaką Kagockiego pochodzenia. Kaczka jest ptakiem wodnym, machometanie zaś kąpią się nieustannie,“ jak kaczki.

W Bretanji znowu mniemano *powszechnie*, (niech czytelnik nie sądzi że mówimy tu tylko o ciemnym gminie,) że Kagoci byli szczepem żydowskim, przytaczając także na dowód niemiły wyziew ich ciała. Któż nie wie, twierdzono że z dawien dawna Żydzi podlegali téj fizycznéj słabości, na którą nie znali innego lekarstwa, jak kąpiel w pewnéj egipskiéj fontannie (co, mówiąc nawiasem, za daleko było od Bretanji).

(d. n.)

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

PEDRO. Margarita?

MARTIN. Margarita. Zdumiony, uszanowałem heroiczną skromność wybawczyni. Nie rzuciłem się do nóg, nie przemówiłem nawet i słowa — lecz teraz postanowiłem oświadczyć ci: Don Pedro, tyś mi naznaczył godzinę śmierci, żona twoja nadbiegła i cios twój chybił. Osądź teraz, czy mógłbym kiedykolwiek podnieść szpadę na ciebie? Dozwól mi pozostać szlachetnym.

PEDRO. Winienem ci dużo! Zatem, precz z walką, ze szpadami! O, i przykro mi było stawić się do walki z tobą. Któżto wreszcie nie drżałby na myśl utraty życia, mając taką towarzyszkę na ziemi. Życie będzie mi odtąd stokroć droższem, jeżeli ty zechcesz nazywać mnie swoim przyjacielem, (podają sobie ręce).

MARTIN. Bądźmy przyjaciołmi.

PEDRO. Na zawsze.

MARTIN. Na zawsze.

PEDRO. Powiedz-że mi, czy zasięgnąłeś jakiéj wieści o synie. W nieszczęsnéj godzinie, uwiedzion błaganiem Azagry, przyrzekłem oddać mu rękę mojéj córki. Gdyby twój syn był pierwéj udał się do mnie, ileż łez byłyby sobie oszczędziły obiedwie rodziny! Bog tak chciał!

MARTIN. Błogosławionem niech będzie imie Jego! lecz strata moja tem dotkliwsza.

PEDRO. I cóż?

MARTIN. Od czasu bitwy pod Maurelem, w któréj dostał się w ręce hrabiego Szymona Monforta, nie pochwycił wieści ni wskazówki o nim, mimo że gorliwie wywiadywałem się o niego. Codziennie błagam niebios, aby mi objawiły, na którym krańcu ziemi przebywa. Ale i ziemia i niebo zachowują okrutne milczenie.

PEDRO. Termin sześcioletni, zakreślony przezemnie twojemu synowi, jeszcze nie upłynął. Jedna chwila, jedna godzina wystarcza mu do wieczności, i cieszyłbym się bardzo, gdyby pozostał moim zięciem ten, który tak szczerze pokochał Izabellę. Lecz jeżeli nie wróci — a czas upłynie, i godzina terminu nadbieży... tak... boleję... ale, jestem związany obietnicą dla don Rodryga...

MARTIN (z goryczą). Zdaje się, że los skąpo obdzielił miłością nasz ród. Nie umiejąc poddać się nieszczęściu, okazywał się cierpliwym, gdy go przygniotło. Bywaj zdrów, don Pedro.

PEDRO. Nie chciałbym ażeby cię widziano w takim stanie. (Bierze szpadę jego leżącą na ziemi, a daje mu swoją). Biorę tę szpadę, a ty przyjmij moją w zakład stałéj przyjaźni.

MARTIN. Dobrze. Bywaj zdrów. (Odchodzi).

Scena 4.

Margarita. Pedro.

MARGARITA. Don Pedro, don Pedro, czego to żądał od ciebie ojciec Marsyliego? Czy już przyszło do pojedynku z wami?

PEDRO. Nie -- przyszedł celem wręczenia mi swojéj szpady. Patrz, to ona!

MARGARITA. Więc się pojednaliście?

PEDRO. Jesteśmy przyjaciołmi.

MARGARITA. Niech będzie błogosławiona dobroć boża!

PEDRO. Czyliż się nie domyślasz, komu winniśmy te zmianę?

MARGARITA. Stwórcy wszechświata.

PEDRO. Najprzód Jemu — następnie... tobie—

MARGARITA Mnie?

PEDRO. Pielgrzym—lekarz odsłonił się w ruinach przedwcześnie, i ujrzano twarz jego.

MARGARITA. Marsylia widział mnie?.. Ha, niechaj sądzi jak chce... nie, to nic nie szkodzi, jak skoro wyzwoliłam cię z niebezpieczeństwa.

PEDRO. Pójdź w objęcia, moje dobro, moja dumo, mój aniele opiekuńczy. Czegóż mi więcéj potrzeba? Tylko, kochaj mnie, czcij jak dawniéj. A gdyby kiedy zgasło to przywiązanie czyste i spokojne, to błagam, ukryj twoje zobojętnienie. Nie przeżyłbym téj zmiany!

MARGARITA. O nie! jestem godną takiéj miłości: pozwól ucałować prochy stóp twoich (klęka).

PEDRO. Co czynisz. Wstań, zaklinam cię... (Margarita wstając całuje ręce męża).

Scena 5.

Ciż. — Izabella.

IZABELLA. Giermek od Rodryga Azagry pragnie widzieć się z tobą.

PEDRO. Aha! don Rodryg chciałby was odwidzić. Po upływie roku, to nic dziwnego. (do Izabelli). Od wyruszenia z Monzon mówił tylko o tobie, i gdyby go nie wstrzymali przyjaciele, byłby wysiadł jeszcze przed pójściem do domu. Idę odpowiedzieć mu na list (odchodzi).

Scena 6.

Margarita. — Izabella.

IZABELLA. Moja suknia ślubna już gotowa.

MARGARITA. Złóż ją tam.

IZABELLA. Wyznaczysz mi robotę?

MARGARITA. Winnaś zająć się strojem. Słyszałaś kto nadejdzie —

IZABELLA (na stronie). Boże mój!

MARGARITA. Miłość Rodryga zasługuje na to, abyś przydała wdziękom ozdoby.

IZABELLA. Będę posłuszną.

MARGARITA. Widzę moja córko, że cię zasmuca powrót don Rodryga.

IZABELLA. Powrót jego wydziera mi resztę spokoju, którym dotąd jeszcze pieściła w zbolałem sercu.

MARGARITA. Ależ warto, abyś na dzisiaj przynajmniéj stłumiła tę odrazę.

IZABELLA. Może przeznaczenie okaże jeszcze litość nademną.

MARGARITA. Córko, zkądże ta odraza względem młodzieńca, wyświadczającego ci łaskę niemałą? Prawda, i ty pochodzisz z rodu niemniéj szlachetnego, ale ten który ci poświęca miłość, jestto don Rodryg de Azagra, mąż dostojniejszego rodu, aniżeli ty. Młodzian uprzejmy, wsławiony, dzielny, bogaty.. Któraż piękność odmówiłaby mu pogardliwie swéj ręki? Honor jest zawsze jego przewodnikiem — umysł jego ogarnia wszystko. Monarcha kocha go, zazdrości mu dwór cały, i ujrzysz jak w końcu dźwignięty wszechwładzą króla, dojdzie do wysokich dostojeństw.

IZABELLA. Powabny to obraz—lecz mało trafiony.

MARGARITA. I ojciec twój uznał go godnym w obec ciebie. Takiemu jak ty dziewczęciu niewolno czynić wyboru według skłonności. Chciałażbyś podeptać prawa ojcowskie? Do ojca należy wybierać małżonka dla córki, a do niéj należy oddać rękę i serce temu, którego ojciec wybiera. Takto, Izabello, zawiązują się dzisiaj nasze małżeństwa — tak zaślubiają nas wszystkie... tak też i mnie zaślubiono...

IZABELLA. I mogłażbyś z takim spokojem poświęcić mnie, okuć w pęta ohydne, które piekło wtłoczyło na cnotę? Wydacie mnie za Rodryga—i cóż za korzyść dla was, dla mnie? Co zyskam na skarbach, to potrąconem mi będzie ze szczęścia. Czegóż spodziewać się po miłości, zrodzonéj przez kaprys, podsycanéj próżnością, łamiącéj opór na przebój? Zdaje ci się, że on mnie kocha... I czemuż to popierać błędy? To, co on mieni być miłością, zowie się dumą, zawiścią. I takiemu zaprzedać mnie myślicie?

MARGARITA. Nie rozporządzam tobą tak jak powinnam. —

IZABELLA. Lecz powiedz mi na Boga, któréj trzymasz się strony? Pochwalasz mój związek, ażali nie?

MARGARITA. Co znaczy moje zdanie? Winnam tylko być posłuszną. —

IZABELLA. Oh! gdyby nieszczęścia moje znalazły w tobie pocieszycielkę.

MARGARITA. Nigdy. Nie wspominaj mi o niczem. Nie wstawiam się za marzeniami. Odejdź.

IZABELLA. Daremnie... spodziewałam się.. (chce odejść).

MARGARITA. Co? płaczesz?

IZABELLA. Przynajmniéj że mi téj pociechy nie wzbroniono.

MARGARITA. Izabello, jeśli cię nie słucham, nie oskarżaj mnie o srogość. Lękam się.. boleję nad tobą... Szata mojéj pokuty nie skrępowała jeszcze dotyla mego ciała, iżbym się na głos serca zdobyć nie miała... Ach poświęć Stwórcy te łzy z wiarą dziecięcą. Nieskończonem jest miłosierdzie Jego. Marsylia może powrócić jeszcze —

IZABELLA (z uniesieniem). Ah! — nazwałaś go.

MARGARITA. Zdumiewasz i przerażasz mnie Izabello. Prawda, on może powrócić, ale jakże to niepewne. Nie należy drażnić dłonią nierozważną téj rany, któréj ból choćby pożądany, zabija w końcu chorego.

IZABELLA. Podobne zdanie tylko do szalonych stosować można.

MARGARITA. Jesteś szalona, bo kochasz.

IZABELA. Matko! Krzywdę mi wyrządzasz. Daj Boże, by to się mylnem okazało. Dobrze. Pojmuję czego wymaga mój stan. Już umarł mój ukochany. Nie pisał od lat czterech. Lecz, co mówię!.. on żyje żyje — lecz jak żyje? Może jęczy w ziemi świętéj; może jęczy w piaskach libijskich. Nie miał odwagi zasmucać mnie wieścią tak straszną. Usiłuję wytłumaczyć sobie, a mimoto myśleć nie przestaję, że on tak żyć musi. Doszło nawet do tego, że przymuszałam się zapomnieć o nim, że się przeniewierzył, usidlony wdziękami innéj kobiety. Sądziłam nawet że zdołam szanować jego rywala, don Rodryga — pokrzepiona łaską bożą, któréj zawezwałam ku pomocy, nie wątpiłam że odniosę zwycięztwo nad sobą. Lecz w chwili, gdy hart duszy dosięgnął szczytu potęgi, słabość ludzka zgruchotała jéj władzę, a przed prostem wspomnieniem jednego spojrzenia ukochanego, odwaga runęła w gruzy, a na ruinach jéj miłość zwyciężyła. Wówczas-to zadałam fałsz heroizmowi; w rozpaczy łzy roniłam, a w gorączce szału zaprzysięgłam, że raczéj rzucę się w przepaść, jak żebym połączyć się miała z człowiekiem, który wywołał z piekieł ducha złego przeciw mnie.

MARGARITA. Na Boga, na Boga Izabello! miarkuj się, błagam. Nie pojmujesz moich męczarni.

IZABELA. Jakto? zadziwia cię to uniesienie? Toż serce moje tak jest przepełnione trucizną, że gotowam zionąć nią na wszystkie strony. Nie was, moja matko... ale ten głaz bezwładny z tego obnażonego muru, to sklepienie które milcząc słucha moich zaklęć śmierci, tę ziemię którą przebić mogłyby łzy moje — nie was... ale te martwe przedmiota gotowam zakląć, by zechciały zrozumieć straszny ból serca. One mi nieudzielą pomocy—ale i nie udręczą!

MARGARITA. Któżby zdołał słuchać cię spokojnie? Ukój ten ból — przytul się do piersi matki i przyjaciółki. Niechaj cię nie odstręcza ta twarz surowa — to tylko maska. Nieszczęścia wypiętnowały mi ją na czole: znajdziesz pod nią miłość matki, tkliwą i pobłażliwą.

IZABELLA. Matko moja! (ściska ją).

MARGARITA. Z bólem taiłam przed tobą rodzicielskie przywiązanie. Bóg skazał i mnie także na połykanie goryczy. Radabym kosztować dziecięcéj miłości, a nie powinnam jéj kosztować —

IZABELLA. Ty? ach!

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

Jeszcze przesławnéj pamięci Biskup Krasicki, w jednym ze swoich listów rymowanych powiedział,

Trzeba o tem wiedzieć,
Że jeśli dobrzejeździć, lepiéj w domu siedzieć.

Mimo tego na zwolennikach włóczęgi po świecie nigdy nie zbywa, cygańska natura widocznie w ludziach przeważa i czy z musu czy z własnéj woli, zawsze w podróż chętnie się udajemy.

Wystawa powszechna w Paryżu zbyt to ponętna sposobność, aby z niéj wielu nie chciało korzystać, zwłaszcza gdy są interesa jakim na nieszczęście w kraju niezaradzi. Jedziemy więc, bilet do trzeciéj klassy, tam i z powrotem kosztuje rubli 32 i pół. Taniość niezwyczajna, daléj więc w drogę!

Przygotowania redakcyjne trwają trzy miesiące, domowe trzy dni. Tłomoczek sześćdziesięcio funtowy na dwie osób to bardzo umiarkowanie. Porwany z dorożki, przed dworcem kolei, i w jednéj chwili przyciśnięty w sieni dwoma kuframi, skulił się biedaczek i skrzywił, jakby dusząc się ostatnie wydawał westchnienie. Westchnąłem i ja także i daléj go za ucho w górę. Ani sposób, kufry rozwielmożnione, gruchoczą trąc kantami o ścianę, tłomoczek trzeszczy i wyraźnie przygotowywa się do rozstania z uchem, a tu do sioneczki ciasnéj, pakuje się waliza za walizą, pudła, pudełka, pakunki wielkie jak domy, rwetes się powiększa, powstaje hałas, tartas, pisk, krzyk, łajania, gniewy, zwady; ściskamy się, gnieciemy jak śledzie w beczce, wreszcie przyparci do ściany, szczęśliwym trafem wgniatamy się do izby przeznaczonéj na przyjmowanie pakunków. Ludzi wszędzie jak nabił, głowa tuż przy głowie, pomiędzy niemi kufry sterczą jak góry, grożąc co chwila upadkiem, ani wygodnym, ani bezpiecznym. Ciągnąc jedną ręką tłomoczek, drugą zastawiam się jak mogę, tu podpieram, tam odsuwam, tu odbieram guza, tam sójkę, tu kuksa, stękam, pocę się jak mysz, w tem nogi zawadzają o jakiś kuferek, plączą się, tracę równowagę, padam jak długi, gubiąc kapelusz i własny pakunek, a ratując się przewracam dwóch najbliższych sąsiadów, którzy podobnéj przyjemności następnym udzielają. Zamęt więc wzmaga się, podnoszą się na nowo krzyki i łajania, przeplatane grubym głosem męzkim i wykrzykami przestrachu kobiecego. Wreszcie wspomożony jakąś poczciwą ręką, wstaję na nogi, odszukuję pogubionych manatków, i dalejże naprzód! Ale to sprawa nie łatwa. Głusząca wszystko wrzawa unosi się po nad głowami, jak burza burcząca grzmotami i piorunami; każdy się ciśnie, tłoczy, popycha, każdy prosi, błaga i wyciąga ręce. Służba gniewa się, pakunki walą się jeden na drugi, ten włazi na skrzynię ów na stół, ten się chwieje, tamten spada razem z podstawą, a wszędzie zamęt i tłoczenie, wymagających silnéj ręki i potężnéj budowy, żeby wyjść cało i nie zostać zgniecionym.

Po dziesięciu szturmach do stołu i kratek, rzeczy wreszcie przyjęte zostały, rejteruję więc co chwila porywany falą nowo przybywających, pcham się, wciskam, przemykam, przybliżam do drzwi i znowu odsuwam, i nareszcie z wielką moją pociechą jak kamień z procy, zostaję wyrzucony do sieni, a z niéj po schodkach jak z pieca na łeb, na podwórze przed gmachem. Odetchnąłem. Zapinam rozmamany paletot, patrzę — w pole wyrwana dziura jak trzygroszniak, kapelusz pognieciony jak wiecheć, w zawieszonéj torbeczce na ramieniu brakuje bombki do otwierania, a całe ubranie od nóg do głowy zapylone i zbrukane jak młynarz i kominiarz zarazem. Oczyszczam się więc, porządkuję, przygładzam i zjajany, wykuksany i nadduszony, siadam do wagonu, polecając pamięci zastępcom redakcyjnym, warsztaty mojéj pracy, którym lat tyle służąc wiernie, zaskarbiłem sobie niejedno serce, niejedno s rdeczne słowo odebrałem w podzięce.

Była to ostatnia myśl z którą żegnałem Warszawę. W przedziale naszym wagonowym siedziało osiem osób, tworząc bardzo miłe i przyzwoite towarzystwo, a gdy pociąg ruszył darząc monotonnym trajkotem, każdy zatopił się we własnych myślach spoglądając z zajęciem na pola okryte dojrzewającem zbożem.

Dalsze koleje podróży opowiem Wam w następnych numerach.

O STROJACH

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

W zeszłym sprawozdaniu z wystawy mówiliśmy o pysznych sukniach koronkowych, te chociaż zbytkowe mają przynajmniéj tę korzyść, że mogą przechodzić spadkiem z jednego pokolenia na drugie. Są to arcydzieła pracy i cierpliwości ludzkiéj, i jako takie nie wyjdą nigdy z mody. Nierównie zbytkowniejsze według nas, są owe suknie jedwabne haftowane igłą w rozmaite wzory, które lubo kosztują po kilka tysięcy franków, dadzą się włożyć zaledwie kilka razy.

Jedna z tych sukien koloru Bismark (orzechowa wpadająca w barwę żółtą) ma u dołu szlak haftowany atłaskiem *à jour*. Pod spód idzie spódniczka takaż sama, cała zahaftowana w rzucik jedwabiem tegoż koloru. Wierzchnia spódniczka podpina się w festony kosztowną pasmanterją. Z boku spadają długie szarfy całe zahaftowane, z szeroką frendzlą u dołu. Stanik pod szyję z baskiną tak dziwnie nasadzony rozetami i guzikami, że żaden opis nie da o nim dokładnego wyobrażenia. Suknię tę wykonano w sławnym magazynie *Gegelin'a*, zakupił ją na wzór *Garg* jeden z pierwszych kupców Londyńskich.

Z pomiędzy kosztownych sukien zwracają też powszechną uwagę aksamitne i atłasowe przybrane drogiemi futrami. Najpiękniejsza z nich biała, ma u dołu dwie plisy sobolowe, stanik obłożony odpowiednio. Fijołkowa aksamitna z paletotem obłożona szenszyllą prześlicznie też wygląda, równie jak niebieska aksamitna przystrojona skonksami.

Zasługuje także na wzmiankę piękny kaftan cały wydrowy, naszywany w deseń czarnym futrem, oraz pyszna rotonda z kaczki wodnéj ze srebrnym piórem, przyozdobiona szlakiem dobieranym do cieniu.

O mufkach powiemy tylko, że w ogólności nosić je będą bardzo małe. Krawatki futrzane najmodniejsze mają formę całego zwierzątka, z łebkiem i długim ogonem. W łebek wprawiają świecące oczy z topazów lub innych kamieni.

Obok prześlicznych sztucznych kwiatów z batystu i jedwabiu, ukazały się na wystawie piękne kwiaty z piór w naturalnych kolorach. Biorą na to piórka kolibrów i innych różnobarwnych ptaków w które Ameryka tak obfituje. Prześliczne są wieńce z liści w różnych odcieniach wyrobione z tych piórek. Do najpiękniejszych należy girlanda z szafirowych gron winnych z zielonemi liśćmi.

Zwróciła też uwagę naszą śliczna suknia biała illuzjowa, naszyta u dołu w gałązki i suche liście wyrobione z piórek. Na gałązkach siedzą różnobarwne ptaszki naturalnéj wielkości.

Inną równie szczególną nowość stanowią biżuterje z prawdziwych owadów. Uważaliśmy motyle oprawne w złoto, pyłek na skrzydłach sztucznie przytwierdzony gummą ażeby nie opadał.

Zwracają niemniéj uwagę broszki, kolczyki i naszyjniki, z owadów połyskujących wszystkiemi barwami tęczy. Owady w nich prawdziwe zasuszone. W niektórych biżuterjach naśladują owady emalją albo kamieniami. Te nierównie praktyczniejsze od pierwszych, gdyż nie tak łatwo się kruszą jak wątłe skrzydełka owadu.

Między innemi podziwialiśmy śliczne grona złożone z drobnych owadków mieniących się jak prawdziwe opale.

S. z Ż. D.

Opis deseni do haftu.

N. 1 i 2. Kołnierzyk i mankiet płócienny na haft atłaskowy.

N. 3. Połowa kołnierzyka płóciennego z batystowym lub muślinowym brzegiem jak linje wskazują. Liście haftowane atłaskiem i stembenkiem. Do kołnierzyka tiulowego daje się aplikacja z muślinu, a na niéj listki haftowane.

N. 4. Mankiet odpowiedni do kołnierzyka.

N. 5. Narożnik do kołnierzyka na ścieg łańcuszkowy i meksykański czyli przewlekany. Ząbki w około dziergane.

N. 6. Karczek do koszuli dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Ząbki w około dziergane. Girlandka otaczająca tylko przednią część karczka, haftuje się atłaskiem i ściegiem *à la minute*; litery drobnemi pęczkami. Rękawki można tylko obdziergać ząbkami albo też przyozdobić odpowiednią girlandką.

N. 7. Deseń do wyszycia sutaszem sukni pikowéj nad gładkim obrębem. Ten sam szlak służyć może do wyszycia serwety sukiennéj lub do innego użytku.

N. 8. Deseń do wyszycia bluzki białéj, ściegiem meksykańskim czarną bawełną.

N. 9 do 14. Litery *A Z C* do znaczenia poszewek.

N. 15 do 35. Litery do znaczenia chustek od nosa na haft atłaskowy, i drobny stembenek. W narożniku umieszcza się tylko jedna litera.

N. 36 do 39. Norożniki do chustek od nosa.

N. 40 do 42. Kwadraciki do wyszycia narożników krawatek jedwabnych, kolorowym jedwabiem.

N. 43 do 51. Rozmaite szlaczki do bielizny, bluzek i kaftaników.

N. 52 do 58. Bukieciki na aplikacją i haft do muślinowych białych krawatek.

N. 59. Liczby.

Opis formy penioaru, koszuli damskiéj wyciętéj i gorseta.

P e n i o a r.

N. 1. Przednia część.
N. 2. Połowa pleców.
N. 3. Połowa karczka do pleców.
N. 4. Garnirunek do przecięcia na rękę.

Prosty płaszcz z nanzuku, bez rękawów, z tyłu w kontrafałdę ułożony; całą jego ozdobę stanowi karczek z tego samego materjału, ubrany skośnemi przystebnowanemi pliskami i zakończony na 2 i pół centymetra szeroką haftowaną muślinową falbanką, jak to na wizerunku widzieć się daje. Płócienne guziki zapinają przód penioaru.

Najpierw zwracamy uwagę czytelniczek, że formy N. 1 i 2-gi niemogąc być w całości narysowane, mają załamania; zanim więc przystąpimy do kroju, trzeba wyciąć papierową formę w całości i podług niéj skroić dwie części N. 1 i dwie N. 2 (tyłu) przypuszczając wszędzie na wymagalną długość penioaru, i na obrąb dolnego brzegu, 2 cent. szeroki; następnie każdéj części przodu (N. 1) dodaje się na 2 cent. szeroka listewka, obrąb stanowić mająca, na któréj wypadają dziurki i guziki. Naznaczone podwójną linją na N. 1-ym wcięcie do wyjmowania ręki, po dopełnieniu go, należy wypustką w około objąć, i podług odpowiednich znaków i liter, ubrać garnirunkiem, N. 4 oznaczonym, który się składa z dwóch skośnych i jednéj haftowanéj pliski, odpowiednio karczkowi. Skoro obie części przodu podług oznaczonego rozmiaru, są skośnemi przystebnowanemi listewkami ubrane, wzdłuż przodów od góry do dołu, należy obie części tyłu zeszyć, zebrać w kontrafałdę, podług oznaczenia krzyżyk na punkcik zakładając, i złączyć podług liter jednozgodnych z karczkiem N. 3 oznaczonym, który krajać należy z podwójnie złożonego materjału. Tak przyrządzony tył, z przodami zeszyć trzeba. Nakoniec podług naznaczonych rozmiarów ubiera się karczek skośnemi listewkami i haftowaną płasko przyszytą falbanką, któréj przyszycie pokrywa skośna listewka, przystebnowana jak wszystkie poprzednie. Troszkę nadmarszczona haftowana falbanka, formuje fryzkę przy szyi, przytwierdzona skośną listewką.

Wycięta damska koszula.

N. 7. Wierzchni wykrój koszuli damskiéj.
N. 8. Połowa rękawa.
N. 9. Połowa karczka czyli paska.

Koszula ta z bardzo cienkiego płótna, zapięta na ramieniu na guzik, objęta jest w górze karczkiem uformowanym z haftowanéj wstawki, i koronki. Taki sam garnirunek ubiera rękawy. Długość koszuli, rachując od karczka, wynosi 106 cent., szerokość włączając kliny na bokach wstawione, liczy 208 centymetrów.

Na przedstawioną koszulę, kraje się podług N. 7, na tył i na przód, po jednéj części, uważając żeby płótno podwójnie było złożone, i dodając na długość jeżeli wyższa jest osoba, i na obrębek u dołu 2 cent. szeroki. Daléj podług N. 8 przykrawa się po dwie części na każdy rękawek, ale tylko do gładkich linji na formie narysowanych, jako przyszycie haftowanéj wstawki z któréj, złożonéj podwójnie, przykrawają się podług N. 9 po dwie części, stanowiące karczek. Skoro przód i tył koszuli od litery H do dołu, krytym wązkim szwem połączy się, można dać w około obręb wspomniany, na 2 centymetry szeroki, na prawéj stronie przystebnowywując. U góry tak przód jak tył, od środka literą M oznaczonego do krzyżyka, na obydwie strony, ułożyć w drobne marszczki; następnie przyszyć do tego rękawy, N. 8 od I do L zeszyte, wstawką i koronką ubrane, ażeby litery, L do L, a I do H przypadały. Tak stan, jak przyszyte do niego rękawy, obejmuje się u góry wąziutkim płóciennym paskiem, który pokrywa marszczki, a na nim przyczepia się N. 9 czyli karczek, opatrzony guzikami i dziurkami, podług odpowiednich liter. Koronka otaczająca karczek i rękawki ma 1 cent. szerokości.

Gorset damski.

N. 11. Przód.
N. 12. Klinik do dołu przodu gorseta.
N. 13. Klinik do gorsu.
N. 14. Boczna część gorseta.
N. 15. Klinik do dołu gorseta.
N. 16. Połowa pleców gorseta.
N. 17. Klinik do dołu gorseta.

Przedstawiony gorset, z białego drelichu, mechaniką do zapięcia przodu opatrzony, z tyłu sznurowany, stębnowane ma wszystkie szwy białym jedwabiem. Metalowe wbijane kółka, stanowią dziurki do sznurowania pleców; można je w razie potrzeby zastąpić haftkami bez koników, które sznurować dadzą się z łatwością, w takim razie, przyszycie ich, przykryć należy taśmą, albo skosem z tego samego materjału, co jednak nie jest tak trwałe jak metalowe kółka. Gorset u góry, oszyty jest koroneczką *frivolité* albo Kluni.

Przykrawając części gorseta, uważać trzeba, żeby nitki materjału, były w prostem położeniu, i żeby na zaszycie przypuścić 1 cent. materjału, aby wszystkie części jedna na drugą na pół cent. zachodziły. Podług każdéj części oznaczonéj numerem, trzeba krajać po dwie cząstki do obydwóch pleców dodając na 4 cent. pas, który utrwala sznurowane dziurki z tyłu, i służy zarazem do wsunięcia dwóch grubych fiszbinów. Dla osadzenia reszty szerokich fiszbinów, jak również mechaniki w przednich częściach, podszywa się podług oznaczonych punkcikami na formach linji, mocna taśma, z wierzchu jedwabiem

przystębnowana. Złączenie pojedynczych cząstek gorseta, dopełnia się podług oznaczonych liter, poczem dla zeszycia dwóch cząstek, brzeg jednéj załamać trzeba na prawą stronę, brzeg drugiéj na lewą, późniéj załamana na prawą stronę cząstka, podkłada się pod drugą, zahacza i z wierzchu przystębnowywa, formując szew na pół cent. szeroki. Następnie wyżéj podanym sposobem wszywają się kliniki we właściwe miejsca, uważając na litery. W szwach łączących części wsuwają się również stosownie szerokie fiszbiny. Wszystkie wygładzone fiszbiny, giętkie i miękkie być powinny i na obydwóch końcach pozakończane w wypalonych drutem dziurkach skośnym ściegiem, jak wskazuje wizerunek. Tak u górnego, jak u dolnego brzegu obejmuje się gorset na 1 cent. szeroką tasiemeczką, którą u góry koronka pokrywa. Nakoniec zamocowywa się mechanika do zapinania i sznurowadła do tyłu.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

W naszych czasach, fijołek pachnący jest godłem skromności, bojaźni i niewinności. Bukiecik lub wianeczek z fijołków, jest najpiękniejszym podarkiem dla narzeczonéj. Napoleon III. starając się o hrabiankę Eugeniją de Montijo (teraźniejszą swą żonę), posyłał jéj codziennie wiązankę fijołków.

Jakkolwiek fijołek jest bardzo przyjemnym kwiatkiem, jednak X. Biskup Naruszewicz w jednéj ze swych sielanek, za zbyt podnosi jego przymioty, mówiąc:

Ze wszystkich ziemi najcudniejszy płodów,
Ty oczko wiosny, ty zorzo ogrodów,
Modry fijołku! jakiego mi ani
Ukaże Flora, płodna kwiatów pani
i t. d.

Lepiéj maluje fijołek inny poeta, a podnosząc jego wartość dopiero na czole pięknem i skromnem, tak mówi:

Nie znając żadnéj dumy, kryję się pod zioła,
Skromny moją postawą, ukryciem skromniejszy;
Lecz gdybym się u twego mógł znajdować czoła,
Najpokorniejszy z kwiatów, byłby najdumniejszy.
i t. d.

Jest jeszcze kilka gatunków fijołków, dziko po naszych lasach, gajach lub zaroślach rosnących, lecz te wcale nie pachną, albo bardzo słabą woń mają, chociaż się nie wiele od fijołka pachnącego różnią.

10. Georginia. (Dahlia, *Dahlia variabilis* albo *Georgina purpurea*). Niema dużo takich kwiatów, któreby mniéj za sobą mówiły, pomimo strojności, jak georginia. Pochodzi ona pierwotnie z Meksyku, zkąd dopiero w r. 1784 markiza de Bade, przywiozła po raz pierwszy jedną bulwkę georgini, i takową do ogrodu botanicznego w Madrycie oddała. Ksiądz Cavanilles, znakomity hiszpański botanik, ówczesny dyrektor ogrodu, zasadził bulwkę w ziemię i w cieplarni umieścił. Lecz kwiat otrzymany z téj bulwki, nie był taki, jaki my dziś po ogrodach widzimy. Był on pusty, to jest o jednym tylko szeregu listków (kwiateczków) czerwonych, a środek był żółty, gdy tymczasem po naszych ogrodach widzimy przerozmaite odmiany georgini, w różnym stopniu pełności i przejściach barw. Te teraźniejsze georginie, zostały zamienione w pełne, sztuką ogrodniczą, kosztem żółtego ich środka, przez co wyglądają jakby ufryzowane.

Chociaż georginie rzeczywiście zdobią nasze ogrody, patrząc zwłaszcza na nie z daleka, same w sobie jednak mają coś wymuszonego, coś ciężkiego. Wyglądają tak, jak coś z natury nie powabne, ale ogromnie wystrojone; mają też być godłem niestałości i zmienności, oraz wdzięków późnych, bo swem kwitnieniem, przypominają nam już jesień, tak samo jak astry, z którymi bardzo wiele mają wspólnego.

Nazwa dalija i georginia, wziętą jest od nazw botaników Dahla i Georgi'ego, w końcu przeszłego wieku żyjących.

(d. c. n.).



Pani Rudz. w Nikolsku. Łokieć kanwy Jawa 4 ćwierci szerokiéj kosztuje rs. 2. Ćwierć funta bawełny Nr. 16 kop. 36 (zł. 2 gr. 12), Nr. 18. kop. 37, (zł. 2 gr. 14).

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oznaczony N. 198: oraz formy penioaru, koszuli damskiéj wyciętéj i gorseta.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

W każdym razie, wiadomość o tem małżeństwie nie zbyt miłe i na p. de Camors wywarła wrażenie. Najpierw, musiał wyznać przed sobą, że źle bardzo osądził pannę de Luc d'Estrelles; że właśnie wtedy gdy on posądzał ją o rachubę na nędzny jego majątek, ona przeciwnie poświęcała mu 700,000 fr. dochodu. Czuł więc że w tym razie nie jemu piękna przypadała rola. Powtóre, widział że od téj chwili, musi raz na zawsze stłumić tajemną namiętność, jaką obudzała w nim ta piękna i dziwna istota. Żona jenerała, czy nawet wdowa po nim, panna d'Estrelles już na zawsze straconą była dla niego; uwodzić żonę starca i przyjaciela, któremu tyle dziś winien był wdzięczności, lub choćby zaślubić kiedyś bogatą pozostałą po nim wdowę, odrzuciwszy jéj rękę gdy była biedną dziewczyną, byłaby to niegodziwość albo nikczemność, jakich zakazywały najsurowiéj prawa honoru, których postanowił sobie nigdy nie przekraczać w życiu.... chyba że i ten honor, ta jedyna jego religja, był także tylko czczem słówkiem, urągowiskiem i płonną mrzonką. Tak więc, w teraźniejszości czy w przyszłości, musiał stanowczo wyrzec się kobiety, co jedna dotąd jakimś nieprzepartym ciągnęła ku sobie urokiem; p. de Camors pojął to doskonale, i choć wiedział jak wiele go to kosztować będzie, postanowił jednak nie zstąpić z drogi honoru.

Cztery czy pięć dni bawił jeszcze w Campralion, i postępowanie jego odpowiadało najzupełniéj powziętemu postanowieniu. Otoczył pannę d'Estrelles najdelikatniejszą, pełną poszanowania grzecznością, połączoną z jakimś odcieniem melancholji, co świadczyło jéj wymownie o jego wdzięczności, szacunku i żalu.

P. de Campralion był także bardzo zadowolniony z postępowania młodego hrabiego, który umiał stosować się do wszelkich słabostek swego gospodarza, mało mówił mu o piękności, a wiele o nieoszacowanych moralnych przymiotach jego narzeczonéj, utwierdzając go w błogiéj ufności w szczęściu, jakie związek ten zapewnić mu nie omieszka.

W przeddzień wyjazdu jenerał zaprosił go do swego gabinetu. Mój młody przyjacielu, rzekł mu, dla twéj spokojności muszę ci powiedzieć, iż zawiadomiłem pannę de Luc d'Estrelles, o małéj zrobionéj ci dogodności, wiedz także o tem, że ma ona dla ciebie wiele szacunku i przyjaźni. Przyjęła więc wiadomość z największem zadowolnieniem; nadto zawiadomiłem ją; iż nie chcę od ciebie żadnego rewersu, i że nikt nigdy nie będzie miał prawa domagać się zwrotu téj summy. Nie taję tego, że panna de Luc d'Estrelles, będzie jedyną moją sukcessorką, jednak najchętniéj zgodziła się na wszystko. Teraz kochany hrabio, mam do ciebie wielką prośbę. Pragnąłbym szczerze abyś niezwłocznie przystąpił do urzeczywistnienia twych zamiarów pożytecznéj pracy i szlachetnéj ambicji. Nowe moje położenie, wiek, skłonności, i o ile mi się zdaje, upodobania mojéj przyszłéj, domagają się wszystkich chwil czasu i zupełnéj niezależności; dla tego chciałbym co najprędzéj polecić cię moim wiernym wyborcom, tak co do Ciała prawodawczego jak i do Rady Generalnéj, w któréj także pragnąłbym abyś mnie zastąpił. Proszę cię więc, młody przyjacielu, nie odkładaj twoich zamiarów, jesteś bardzo ukształcony, bardzo zdolny... więc daléj! naprzód.... rozpoczynajmy działania. No, cóż, zgadzasz się?....

— Kochany jenerale, wolałbym może nieco dłużéj się nad tem zastanowić.... ale byłbym niewdzięczny i szalony, gdybym nie zgodził się na twe żądania... Rozkazuj więc, cóż mam czynić?...

— Otóż, kochany hrabio, zamiast do Paryża, jedź jutro do twéj ziemskiéj majętności.... nazwałeś ją Reuilly jeśli się nie mylę. Otóż jedź do Reuilly, i staraj się podbić Des Rameurs'a.

— Któż to taki, jenerale?

— Co nie znasz p. Des Rameurs?.... a prawda, nie możesz go znać. Tam do licha! to źle. Des Rameures jest wszechpotężnym w tym departamencie.... jest to oryginał... ale poczciwy, zacny bardzo chłopak.... Des Rameures!.. poznasz tam zaraz jego siostrzenicę.... bardzo zacną kobietę. Nie ma rady młodzieńcze, chcąc żeby nam się udało, trzeba podobać im się koniecznie. Powtarzam że Des Rameures jest tu samowładnym panem. Słowo honoru, gdyby nie on i ja byłbym pewnie nie przeszedł....

— Ale, jenerale; cóż mam robić aby mu się podobać?...

— A zobaczysz.... Des Rameures jest wielki, wielki oryginał. Nie był w Paryżu od 1825 r.... nienawidzi zawzięcie Paryża i Paryżanów. Otóż pochlebiaj tym jego słabostkom.... cóż robić, młodzieńcze, nie zawsze to na świecie można prostemi chodzić drogami....

— Ale cóż to za kobieta, jenerale?

— O! bardzo zacna... bardzo szanowna.... wdowa... trochę dewotka... ale bardzo ukształcona.... słowem kobieta wielkich zasług...

— Cóż mam robić aby podobać się téj pani?

— A toś się wybrał z zapytaniem!... alboż ja wiem... nigdy jak żyję nie umiałem podobać się kobiecie... w obec nich jestem głupi jak gęś. Ale ciebie nie trzeba tego uczyć, mój młody przyjacielu.... zechciéj tylko, a podobasz się niezawodnie. No, sam się przekonasz!. Co do mnie jestem pewny że wyjdziesz zwycięzko. Nie zapominaj tylko hasła: podobać się Des Rameures'owi i jego siostrzenicy!..

Nazajutrz rano, p. de Camors opuścił pałac de Campralon, opatrzony w niedostateczne instrukcje, i w list jenerała do pana Des Rameures. Udał się prosto do swéj majętności, leżącéj o dziesięć mil drogi. Jadąc, nie jednokrotnie pomyślał sobie że droga świetnéj przyszłości i ambicji, nie koniecznie zasłana jest różami, i że ciężki to orzech do zgryzienia, napotkać na samym wstępie dwie tak kłopotliwe figury, jak ten tam p. Des Remeures i jego szanowna siostrzenica.

CZĘŚĆ II.

IV.

Majętność de Reuilly składała się z dwóch wiosek rozrzuconych wśród pól i z dość pozornego domu mieszkalnego, w którym od dawnych już czasów zamieszkiwała rodzina matki p. de Camors, ostatniéj właścicielki. Pan de Camors nie znał wcale téj posiadłości swojéj, od dawna stojącéj pustkami. Przybył tu ku schyłkowi pięknego letniego wieczora; poważny, gęsto zacieniony szpaler starych drzew, prowadził do dworu. Był to nie wielki budynek z przeszłego wieku, skromnéj bardzo budowy, jednakże przyozdobiony wieżycą, nadającą mu niby postać zamku. Przed tym dworem czy pałacykiem roztaczał się dość okazały taras, do którego prowadziły podwójne schody, zdobne granitową balustradą, u góry któréj stały dwa zwierzęta, może kiedyś do lwów podobne, i pożerające się wzrokiem od półtora wieku.

Po za domem ciągnął się dość obszerny ogród, w którym na prostéj bardzo podstawie, wznosił się smutny kompas, stojący wśród kwater kwiatowych, naśladujących asy treflowe, i kerowe; od których rozchodziły się w różnych kierunkach równo poobcinane szpalery; na prawo, nieco o podal, gaiki, altany, labirynty z drzew i krzewów rozliczne tworzące zakręty, doprowadzające nareszcie do samotnéj doliny, w któréj o każdéj porze dawał się słyszeć jakiś szmer tajemniczy. Sprawczynią tego szmeru była nimfa wyrobiona z gliny, trzymająca w ręku urnę z któréj, dzięki jakiemuś nieznanemu urządzeniu hydraulicznemu, dzień i noc spadał mały strumień wody w łożysku stawu otoczonego przestaremi jodły, w cieniu których woda wydawała się czarna jak w Acheronie.

Wszystko to razem sprawiło na p. de Camors przykre jakieś wrażenie, wzrastające z każdą chwilą. Gdyby był kiedyś, dawnemi czasy, pierwszy raz zwiedzał te miejsca, byłby zapewnie z żywem zajęciem śledził tu wśród wspomnień przeszłości śladów dziewczynki co się tu zrodziła i wzrosła, co była jego matką i może tkliwie ukochała wszystkie te stare rzeczy; ale dziś — przyjęty system nie dozwalał mu myśleć o takich dziecińśtwach. Odpychał więc podobne myśli, ilekroć poważyły się pojawiać i prędko zawracając ku domowi, zawołał o obiad.

We dworze, opuszczonym od lat trzydziestu mieszkał tylko stary dozorca z żoną; w przeddzień zostali uprzedzeni o przyjeździe nowego pana. Od samego rana pracowali nad czyszczeniem i przewietrzaniem pokoi, skutkiem czego poruszyli z uśpienia setki myszy, pająków i różnorodnych żyjątek, które od lat tylu przebywały tu swobodnie wśród niezgruntowanych warstw kurzu i pajęczyny. Wszedłszy do sali jadalnéj gdzie mu nakryto do stołu, przykro uderzyła Camors'a jakaś woń piwnicy czy grobu, zaduszająca i tłumiąca oddech; daléj zbliżając się do stołu, postrzegł coś czego nigdy nie widział w życiu.... zapalone dwie łojowe świece, słabo łyskające w ciemności, jakby dwie gwiazdy piętnastéj wielkości. Stanąwszy przy stole, z największą ostrożnością uchwycił jeden z lichtarzy żelaznych w jaki były oprawione i zaczął przyglądać się świecy; potem otrzaskawszy się z nią nieco, poszedł ku ścianie, i przypatrywał się wiszącym portretom przodków swoich, którzy także zdawali się poglądać na niego z niewypowiedzianem zdziwieniem. Były to portrety stare i bardzo zniszczone; tu i owdzie, przez wybladłe i popękane malowidło, przeglądało gołe płótno. Jednym brakło nosów, inne miały tylko po jednym oku; jedne miały palce bez rąk, inne ręce bez palców; wszystkie jednak zdawały się uśmiechać doń z wielką dobrotliwością. Jakiś kawaler orderu św. Ludwika, został kulą ugodzony, pozostała dziura na wylot, ale on mimo tego uśmiechał się jak inni, rozkoszując wonią kwiatu, który trzymał w ręku.

Ukończywszy ten przegląd, p. de Camors powiedział sobie że żaden z tych portretów nie wart 15 fr. i wzdychając usiadł przy stole oświetlonym łojówkami. Żona dozorcy pałacu, całą niemal noc uprzednią obróciła na wymordowanie połowy posiadanego drobiu, i biedne ofiary téj rzezi ukazywały się z kolei na stole zatopione w nurtach masła. Szczęściem że raniutko dnia tego, poczciwy jenerał, chcąc zapobiedz nieuniknionym zazwyczaj kłopotom nieprzewidzianéj installacji nadesłał do Reuilly dwa kosze różnych wiktuałów; tak więc parę kawałków pasztetu i kilka kieliszków Chateau-Yquem, dopomagały młodemu hrabiemu rozproszyć śmiertelny smutek w jaki wprawiała go zmiana miejsca, samotność, noc, kopeć z świec łojowych i pogrobowe towarzystwo przodków. Odzyskał powoli zwykły spokój i zimną krew i starał się rozgadać starego usługującego mu nadzorcę; pragnął wyciągnąć z niego jakieś zajmujące szczegóły dotyczące p. Des Rameures; ale, jak wszyscy w ogóle chłopi normandzcy, starowina był przekonany, że człowiek odpowiadający jasno na uczynione sobie pytanie, niezatartą okrywa się hańbą. Mimo więc całéj możliwéj pokory, wyraźnie jednak dał do zrozumienia Camors'owi, że bynajmniéj nie wierzy w udaną jego nieświadomość, że pan hrabia wiedział daleko lepiéj od niego co za jeden był p. Des Rameures, co porabiał i gdzie mieszkał, że pan hrabia był jego panem i z tego tytułu znał dla niego najgłębsze uszanowanie, ale że jednocześnie pan hrabia był Paryżaninem, a jak to właśnie utrzymywał p. Des Rameures, wszyscy Paryżanie są żartownisie i figlarze.

Pan de Camors nie gniewał się, ponieważ z dawna już przysiągł sobie nie gniewać się nigdy, tylko na uspokojenie wypił parę kieliszków wina przysłanego

przez jenerała, zapalił cygaro i wyszedł na taras. Tam stanąwszy, oparł się o balustradę i powiódł okiem po otaczającéj go przestrzeni; noc była piękna i pogodna, mimo to jednak osłaniała swym płaszczem otaczające wioski. W około, tak w dalekich równinach i wzgórzach, jak i w próżni przestrzeni niebieskich, panowało głębokie, poważne milczenie, tak niepojęte dla ucha Paryżanina. Czasami tylko, gdzieś w dalekiéj oddali odzywało się szczekanie psa, które przebrzmiewało co chwila, i znów wszystko w grobowéj pogrążało się ciszy.

Powoli, oczy p. de Camors oswoiły się z ciemnością, zszedł więc ze schodów i zagłębił się w szpaler odwiecznych wiązów, który teraz wydawał mu się tak poważnym i uroczystym, jak katedra o północy. Przeszedłszy szpaler, zobaczył krętą, do wsi prowadzącą drogę, i wszedł na nią bez myśli.

Pierwszy to dopiero raz w życiu Camors *rzeczywiście* opuścił Paryż; wprawdzie wyjeżdżał prawie corocznie na polowania, kursa, do modnych wód lub nad uczęszczane przez wielki świat morskie wybrzeża, ale tam wszędzie towarzyszył mu ruch, wrzawa sposób życia, formy i formułki światowe, co nie mogło dać mu żadnego wyobrażenia o wsi lub prowincji. Tak więc obecnie doznawane wrażenia były dlań zupełnie nowe i zarazem najzupełniéj niemiłe i przykre. Im daléj zapuszczał się tą drogą pustą, milczącą, nie oświetloną, nie zabudowaną, tym więcéj wydawało mu się, że podróżował gdzieś po opustoszałych i zamarłych pustyniach księżyca. Ta strona Normandji przypomina najlepiéj uprawne okolice staréj Bretanji; widzisz też same poważne dzikie nieco krajobrazy, jabłonki, krzewy, gęste zarośla, zielone doliny, kręte drogi i cieniste płoty. Są ludzie lubiący marzyć i dumać, dla których smętna ta i poważna przyroda, nawet w nocnym zatopiona spoczynku, niewypowiedziany jakiś posiada urok; milczenie i spokój uśpionych wiosek, woń łąk skoszonych w poranku, małe ogniki błyskające tu i owdzie wśród traw i zarośli, szmer niewidzialnego, na poblizkiéj łące wijącego się strumyka, a po nad tem wszystkim głęboki spokój niebios — słowem wszystko co tak niemile drażniło obojętne zmysły p. de Camors, staje się dla nich nieprzebranem źródłem słodkich i rozkosznych wrażeń.

Pan de Camors szedł coraz daléj z rozpaczliwą jakąś zawziętością — może spodziewał się że na końcu drogi znajdzie bulwar Magdaleny; lecz, niestety! zobaczył tylko kilka nędznych chatek wiejskich, rozrzuconych po obu stronach drogi, z nizkiemi mchem pokrytemi dachami, które podobniejsze mu się zdawały do jakichś wytworów wegetacji téj płodnéj ziemi, niż do mieszkań ludzkich. Kilku mieszkańców tych nędznych lepianek, siedziało w progach oddychając świeżem powietrzem wieczornem i przy blasku księżycia Camors mógł dojrzeć ciężkie ich kształty i członki powykrzywiane niemal znojną pracą rolną; siedzieli niemi, nieruchomi, żując coś w ciemności, jakby strudzone zwierzęta. Jak w ogóle wszyscy opanowani jedną wszechwładną dla nich ideą, tak i p. de Camors, od chwili kiedy obrał sobie za zasadę życia i podstawę postępowania, wyznania wiary ojca swego, odnosił do niego wszelkie swoje wrażenia, myśli i powiedział sobie zaraz, że większa niezawodnie zachodzi różnica między tymi chłopami a człowiekiem tak jak on ukształconym, niż między temi chłopami, a dzikiemi bydlętami; uwaga ta utwierdziła go w uczuciach dzikiéj arystokracji, będących logicznym wynikiem jego doktryny.

Wszedł na dość strome wzgórze i rzucając w około zniechęconem okiem postrzegł znów nowy krajobraz jabłonek, stogów siana, i różnorodnéj zieloności, i postanowił wracać do domu, gdy nagle, nadspodziewany wypadek przykuł go do miejsca: dziwny odgłos obił się o jego uszy. Dolećiały go piękne dźwięki głosów i instrumentów, które w téj dzikiéj samotni zakrawały na cud lub marzenie. Muzyka i wykonanie było wyborne; poznał preludja Bacha, ułożone przez Gounod'a. Robinson odkrywający ślady stopy ludzkiéj, na piasku swéj bezludnéj wyspy, mniéj był zdziwiony niż p. de Camors napotykając w téj pustyni, tak wymowny dowód cywilizacji. Kierując się dźwiękiem dolatujących go melodyjnych dźwięków, zeszedł w dolinę, postępując zwolna i ostrożnie, jak ów syn króla wybierający się szukać zaczarowanego pałacu. Jakoż pałac ukazał mu się niedługo, otoczony wysokim, drogi dotykającym murem. Pierwszo-piętrowe okno bocznego pawilonu było otwarte, rozlewając w około strumienie światła i harmonji, tu już słyszał wyraźnie piękny, smętny głos kobiecy, z towarzyszeniem fortepianu i kilku instrumentów, powtarzający mistyczny ustęp młodego mistrza, z taką dokładnością i smakiem, iż sam twórca byłby najzupełniéj zadowolniony z wykonania. Camors był muzykalny i umiał doskonale ocenić umiejętne wykonanie tego kawałka, co w takie wprawiło go źdźiwienie, że zapragnął koniecznie zobaczyć wykonawców, a szczególniéj śpiewaczkę. I wiedziony chęcią urzeczywistnienia niewinnego tego życzenia, przeskoczył rów ciągnący się wzdłuż drogi i wdrapał się na wierzch muru, lecz okno wznosiło się o kilka metrów wyżéj, tedy korzystając ze swych talentów gimnastycznych przerzucił się na dąb stojący w pobliżu, i przeskakując z gałęzi na gałęź, dostał się na wierzchołek. Pojmował doskonale że płocha ta wyprawa nie zgadzała się bynajmniéj z powagą przyszłego deputowanego tegoż departamentu, i nie mógł wstrzymać się od śmiechu, pomyślawszy co by to było, gdyby *straszny* Des Rameures lub jego siostrzenica zobaczyli go w tem dwuznacznem położeniu.

Nareszcie zdołał umieścić się dość wygodnie na najgrubszéj, najlepiéj liśćmi osłonionéj gałęzi, prawie wprost intrygującego go okna, i pomimo pewnéj odległości mógł dobrze widzieć wnętrze salonu w którym się koncert odbywał. O ile mu się zdawało nie było tam więcéj jak dziesięć osób. Kilka kobiet różnego wieku siedziało około stołu z robótkami w ręku, nieco opodal młodzieniec jakiś zajmował się rysunkiem, a daléj tu i owdzie, kilka osób rozpartych w wygodnych fotelach, siedziało jakby zatopionych w zachwyceniu. Ale gromadka otaczająca fortepian, zwróciła na się niebawem całą uwagę hrabiego. Przy fortepianie siedziała ładna, może dwunasto letnia dziewczynka; za jéj krzesłem stał starzec wyniosłéj postaci, z łysem nad czołem, z białemi jak śnieg włosami, gęstemi, czarnemi brwiami, grał on na skrzypcach z jakąś kapłańską powagą;

przy nim siedział mężczyzna pięćdziesiąt-letni, z ogromnemi okularami, w duchownéj sukni, z wiolenczellą w ręku. Śpiewaczka stała między nimi. Brunetka, blada, wysmukła, pełna niewysłowionego powabu, wydawała się najwięcéj na lat dwadzieścia pięć; nieco surowy owal jéj twarzy, ożywiały wielkie czarne oczy, jakby zwiększające się jeszcze podczas śpiewu. Jedną rękę oparła na ramieniu dziewczynki grającéj na fortepianie wybijając lekko takt, pobudzając lub miarkując zbyteczną gorliwość, a była to rączka godna dłuta najznakomitszego snycerza.

Po przegrywce Bach'a nastąpił hymn Palestriny; był to kwartet w którym dwóch jeszcze wykonawców przyjęło udział. Teraz ksiądz odłożył na bok wiolonczellę, wstał, zdjął okulary, i piękny jego głos basowy, uzupełniał doskonałą całość.

Po skończonym kwartecie czas jakiś trwała ogólna rozmowa, w ciągu któréj śpiewaczka uściskała małą fortepianistkę, która zaraz wyszła z salonu. Niezadługo całe towarzystwo otoczyło starego księdza, który założył swoje wielkie okulary i wyjmował z kieszeni sutanny coś podobnego do rękopismu. W tem młoda śpiewaczka zbliżyła się do okna, jak gdyby pragnęła świeżem odetchnąć powietrzem: machinalnie poruszała wachlarzem który trzymała w ręku, i piękne swe oczy zwracała już to w gwiazdziste sklepienie niebios, już to w ciemną przestrzeń. Panu de Camors zdało się że słyszy jéj czysty i lekki oddech, i wychylając się nieco z ukrycia aby się lepiéj przypatrzyć, poruszył liście i wywołał lekki szmer w około siebie, szelest ten zwrócił zaraz uwagę młodéj kobiety, która nagle odwróciła głowę w stronę dębu, i stała nieruchomie, z okiem wlepionem w kryjówkę p. de Camors. Uczuł że położenie jego stawało się groźnem, a nie mogąc w żaden sposób wiedzieć czy, i o ile może być dostrzeżonym z okna, ciężką bardzo przetrwał chwilę. Nareszcie młoda kokieta odwróciła głowę ku wnętrzu salonu, i spokojnym głosem wyrzekła słów kilka, które zwabiły do okna dwie czy trzy z obecnych osób, między którymi p. de Camors rozpoznał głos starca grającego na skrzypcach. Zastanowił się chwilę i widział że nie ma innéj rady jak stać nieruchomie w głębi osłaniającéj go zieleni, i grobowe zachować milczenie. Jednak postawa osób stojących przy oknie uspokoiła go nieco; po niepewnych, w około rzucanych wejrzeniach, widać było wyraźnie, że raczéj podejrzywali niż odkryli jego obecność. Daremnie jednak natężał słuch aby usłyszeć dość żywą rozmowę, tylko próżne, oderwane dźwięki dolatały jego uszu, aż nagle usłyszał wyraźnie dwa bardzo dla niego niemiłe słowa, wyrzeczone przez siwego pana: Spuścić psy! zawołał on głośno.

Nie było co czekać; p. de Camors nie był bynajmniéj tchórzem, i niebyłby się cofnął przed gromadą tygrysów, ale wolałby wystawić się na największe niebezpieczeństwa, niż ściągnąć na siebie choćby cień tylko śmieszności. O! musi jéj uniknąć choćby mu przyszło odbyć pieszo sto mil drogi. Korzystając z chwili gdy śledzący go odwrócili głowy ku środkowi sali, zsunął się na ziemię po gałęziach, następnie wszedł znowu na mur, i przeskakując rów stanął na drodze, gdzie już mógł iść wolno i poważnie, jak człowiek używający przechadzki. Niezadługo usłyszał głośne szczekanie psów, dowodzące że odwrót jego w samą porę nastąpił.

Powracając do domu postrzegł wieśniaka stojącego przed progiem swéj chaty, zatrzymując się więc przed nim, zapytał: — Mój przyjacielu, powiedz mi do kogo należy dom leżący nie daleko, po drugiéj stronie drogi, gdzie to tak pięknie grają?

— Ej, pewnie pan wiesz o tem dobrze, odpowiedział wieśniak.

— Ależ, mój przyjacielu, gdybym wiedział, tobym ci się nie pytał.

Wieśniak nic nie odpowiedział. O parę kroków za nim stała jego żona; Camors który zauważył nie jednokrotnie, że we wszelkich klassach społeczeństwa zdarza się często, iż kobiety są lepsze i rozumniejsze od mężów, zwrócił się ku niéj: Moja dobra kobieto, jestem tu całkiem obcy jak widzicie.... powiedzcież mi proszę kto mieszka w tamtym domu? Może czasem p. Des Rameures?...

— O! nie panie... doprawdy nie. Pan Des Rameures mieszka tam daléj....

— Aha!... a któż tu mieszka?

— Tu.... a toć pan de Tècle.... hrabia de Tècle... doprawdy....

— Ah!... ale powiedzcie mi jeszcze proszę, kto tam mieszka więcéj. Wszak jest tam i jakaś pani.... ta co to śpiewa.... jego siostra.... żona....

— Jego synowa.... pani de Tècle.... pani Eliza....

— Dziękuję ci bardzo, dobra kobieto. Masz pewnie dzieci?.... tak.... no to proszę daj im to odemnie..

I rzuciwszy kobiecinie w fartuch małą sztukę złota, ukłonił się i odszedł.

Jakoś z powrotem droga nie wydała mu się ani tak długą ani tak smutną; idąc nucił sobie przygrywkę Bacha. Księżyc pierw zaledwie przeglądający z za obłoków, świecił teraz jasno, rozjaśniając nieco smętny krajobraz. Kiedy nareszcie dochodząc ku końcowi ciemnego wiązowego szpaleru, dojrzał po za tarasem pałacyk swój, oblany strumieniem białego światła, wydał mu się jakoś dość ładny i wesoły. Ale gdy już wszedł wewnątrz i zasiadł w komnatach przodków swéj matki, gdzie wszędzie dawała mu się uczuć przykra woń zapleśniałych obić i zbutwiałych pargaminów potrzebował bardzo przypominać sobie że w niedalekiéj oddali mieszka piękna i młoda kobieta, mająca śliczny głos i ładne nazwisko.

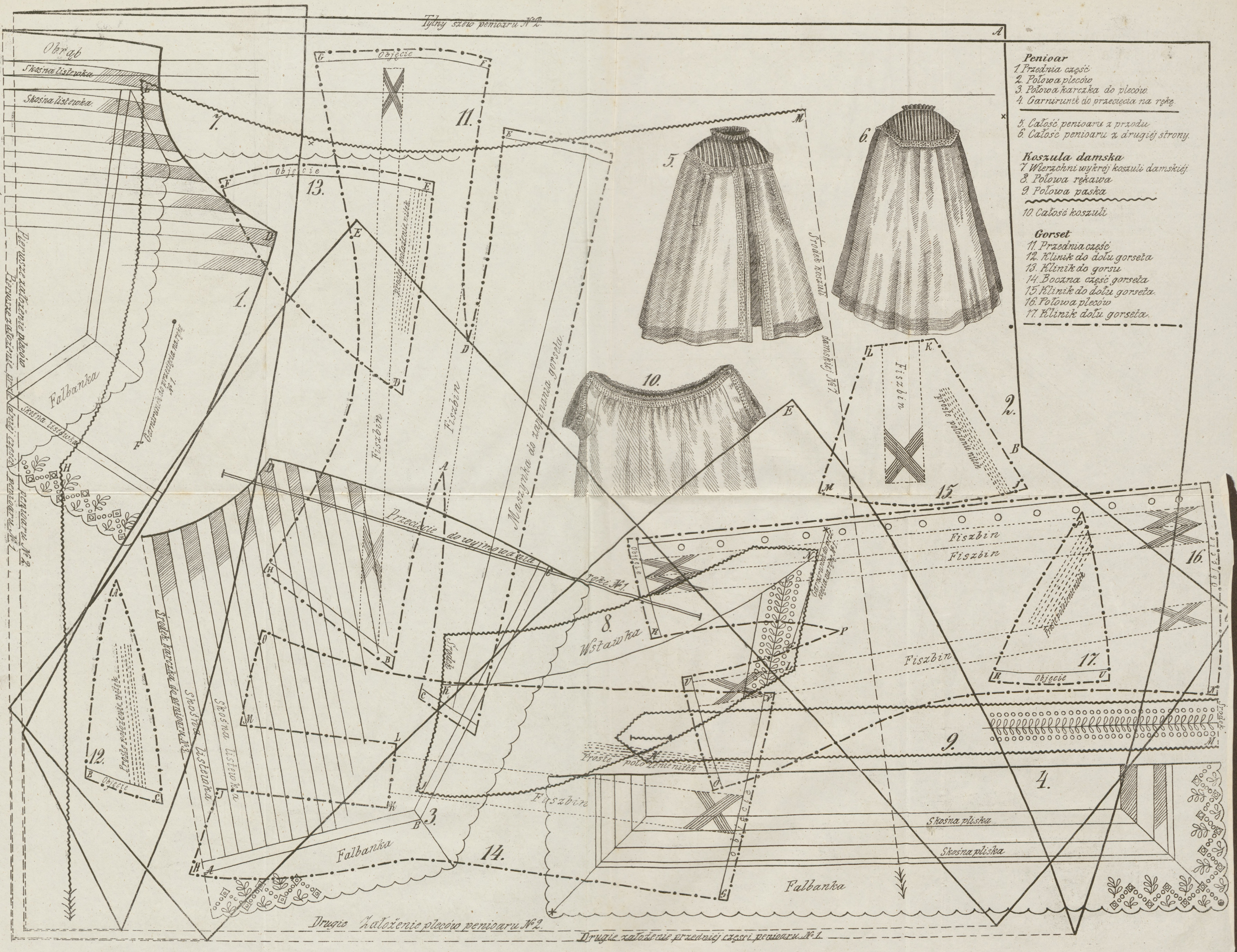
(d. c. n.)

TYGODNIK MÓD w WARSZAWIE
N° 198 ROK 1867.

N° 1,2 Kołnierzyk i mankiet do haftu atłaskowego.
„ 3-4 Kołnierzyk i mankiet do haftu na muślinie.
„ 5 Róg kołnierzyka.
„ 6 Wykrój koszuli dla dziewczynki od 4-6 lat
„ 7 Deseń do wyszycia sutaszem
„ 8 Deseń do wyszycia bluzki białej ściegiem Meksykańskim
„ 9-14 Litery do znaczenia poszewek.
„ 15-35 Litery do znaczenia chustek do nosa
„ 36-39 Narożniki do chustek do nosa
„ 40-42 Kwadraciki do wyszycia krawatek kolorowym jedwabiem
„ 43-51 Rozmaite szlaczki do bielizny, bluzek i kaftaników.
„ 52-58 Bukieciki na aplikacją i haft do białych muślinowych krawatek.
„ 59 Liczby.






Tylny szew penioaru №2.
Peniоar
1. Przednia część
2. Połowa pleców
3. Połowa karczka do pleców.
4. Garnirunek do przecięcia na rękę.
5. Całość penioaru z przodu
6. Całość penioaru z drugiej strony.
Koszula damska
7. Wierzchni wykrój koszuli damskiej.
8. Połowa rękawa
9. Połowa paska
10. Całość koszuli
Gorset
11. Przednia część
12. Klinik do dołu gorseta
13. Klinik do gorsu
14. Boczna część gorseta
15. Klinik do dołu gorseta.
16. Połowa pleców
17. Klinik dołu gorseta.
Obrąb
Skośna listewka
Falbanka
Objęcie
Fiszbin
Wstawka
Przecięcie do wyjmowania
Maszynka do zapinania gorseta
Środek koszuli damskiej №7
Skośna pliska
Drugie Założenie pleców penioaru №2.
Drugie założenie przedniej części penioaru №1.